

Sto lat temu... Ekskurs

*Kiedy przyjdą podpalić dom,
ten, w którym mieszkasz – (...)
kiedy rzucą przed siebie grom,
kiedy runą żelaznym wojskiem
i pod drzwiami staną, i nocą
kolbami w drzwi załomocą -
ty, ze snu podnosząc skroń,
stań u drzwi.*

Bagnet na broń!

Trzeba krwi!

Władysław Broniewski

Pewnie wielu zdziwiło się, dlaczego zaczynam swój kolejny „postowy esej” o tym co było przed 100 laty od znanego ze szkoły wiersza pisanego latem tuż przed wybuchem II wojny światowej. Powodów jest wiele. Podobnież paralel. Władysław Broniewski jest według mnie jednym z lepszych polskich poetów, a pisząc ten wiersz pisał o fundamentalnej wartości, jaką jest nasz dom i podstawowym obowiązku każdego z nas, aby bronić swojego domu. Często jest tak w historii, że bieg wydarzeń zmusza nas, aby stanąć i bronić swego i pod tym względem Broniewski jest wciąż aktualny. Inną rzeczą jest, że Broniewski prawie w tym samym czasie też bronił swojej ojczyzny przed nawałnicą bolszewicką w 1920 r., gdy u bram jego rodzinnego miasta Płocka latem 1920 stanął wróg, który przyszedł „wyzwalać Polaków od tyranii i ucisku kapitalistów, militarystów i posiadaczy ziemskich, obiecując wolność i ziemię dla wszystkich”, ale o tym za chwilę.

Przykład obrony Dobrodzienia przed stu laty pokazuje nam złożoność tamtych wydarzeń i trudności odtworzenia pewnych faktów, które były ze względów propagandowych przemilczane. Propaganda starała się opisać wydarzenia według schematu: Polacy wyzwalają Polaków spod tyranii niemieckiej. Patrząc na dane spisu powszechnego z 1911 r. można zauważyć, że na terenie powiatu Lublinitz, w skład którego wchodził Dobrodzień, mieszkało ponad 50.000 osób i 80% mieszkańców powiatu deklarowało, że mówią w domu po śląsku, bo dla urzędników pruskich chcących ustalić sytuację językowo, język śląski był tym samym, co polski i tak go nazywali. Tylko 15% mieszkańców deklarowało, że mówi w domu wyłącznie po niemiecku. Takie statystyki posłużyły później polskiemu rządowi do wysuwania roszczeń i uzasadnienia agresji na terenie Górnego Śląska.

Sęk w tym, że język śląski nie był i nie jest na Górnym Śląsku tożsamy z poczuciem polskiej tożsamości narodowej, o co od końca XIX wieku polscy działacze narodowi pochodzący głównie z Wielkopolski zabiegali. W Wielkopolsce było naturalnie inaczej. Działania polegające na kreowaniu polskiej świadomości narodowej nazywano dla upiększenia jej „budzeniem”. Już wyniki plebiscytu pokazały, że mimo prowadzonej od 30 lat intensywnej akcji „budzenia polskiej świadomości narodowej” oraz w warunkach terroru polskiego w czasie po II powstaniu śląskim, przy wsparciu francuskich wojsk okupacyjnych i walnym wsparciu wielu księży głoszących z ambon swoje wyobrażenia o Polsce, a nie Jeruzalem jako cel naszej ziemskiej pielgrzymki, wynik plebiscytu pokazał prawdę. Pierwszy wniosek był taki, że to, iż mówi się po śląsku, wcale nie oznacza, że chce się do Polski i czuje się Polakiem. Przykład: Wyniki w demokratycznym plebiscycie pokazały, że 1736 mieszkańców Dobrodzienia chciało zostać w Niemczech, a 446 chciało mieszkać w Polsce. Zupełnie inaczej, niż deklaracje co do języka. Odmiennie przedstawiała się sytuacja na wioskach, gdzie na przykład w obwodzie Pludry i Pietraszów nieco więcej niż połowa mieszkańców chciała, aby mieszkać w granicach nowo utworzonej Polski. Takie wyniki pokazały dobitnie, że język to jedno, a tożsamość narodowa to drugie. Nie ma w tym nic dziwnego, bo jest wiele państw,

w których tożsamość językowa i przynależność państwowa to dwie różne rzeczy, które się nie wykluczają. Na przykład w Belgii żyją przedstawiciele trzech grup językowych, a żadna z nich nie chce żyć ani we Francji, ani w Holandii, ani w Niemczech, ani w Wielkim Księstwie Luksemburg. Tych niuansów nie zrozumiano i Rząd RP postanowił wziąć Górny Śląsk siłą, bo jego zdaniem Górnolązacy jeszcze sami nie wiedzieli, kim są.

Trudno dziś odtworzyć wydarzenia z czasu zajmowania Dobrodzienia. Wiemy, że wojska tam nie było, nie było też „Selbstschutzu”, bo ta formacja dopiero się miała tworzyć. Wiemy, że była tylko straż obywatelska. W czasach, gdy państwo niemieckie przestało istnieć i nie było już wojska, a dawny porządek upadł i wybuchały rewolucje inspirowane przez komunistów i zwolenników monarchii, ludzie musieli sami bronić swoich domów i tworzyli straże obywatelskie (Einwohnerwehr). Czasami mylono je z Samoobroną (Selbstschutz), który został utworzony dopiero później. Od wiosny 1919 r. straże takie tworzone w całej Republice Weimarskiej. Na Górnym Śląsku praktycznie zostały rozbite po 1920 r. przez wojska międzysojusznicze, które zadeklarowały się, że w czasie plebiscytu to one będą dbać o ład i porządek oraz życie i zdrowie mieszkańców. W takiej sytuacji zastała mieszkańców Dobrodzienia agresja uzbrojonych band – tak, użyłem tego słowa, po w polskiej historiografii nagminnie nazywa się mieszkańców broniących swoich domów bandami, gdy bronili się przed polskimi wojskami, więc myślę, że to normalne i tym bardziej można tak pisać o agresorze i nikt nie powinien się obrażać. Ale wróćmy do wątku mojej opowieści. Mieszkańcy dopiero co pochowali swego proboszcza, a już musieli mierzyć się z atakiem bojówek polskich. Mieszkańcy nie mieli wiele czasu na przygotowanie się do obrony. Zadania przygotowania obrony miasta podjął się nauczyciel miejscowej szkoły, pan Heiser.

Oddajmy głos świadkom tych wydarzeń. Pani Trude Draß z Dobrodzienia, z domu Sbroja, tak opowiada o tych dramatycznych wydarzeniach:

„Początek maja 1921 r. to były najbardziej emocjonujące dni. Późnym popołudniem w dniu Wniebowstąpienia duże formacje Polaków próbowały wdrzeć się do miasta. Jednak niemiecki Selbstschutz Guttentag był bardzo czujny i również miał trochę broni. Było dużo strzelaniny, ale Polacy mimo dużej przewagi liczebnej nie byli w stanie przebić się do miasta, mieli też ofiary. Najpierw wycofali się, a potem sprowadzili posiłki. Dopiero o świcie w piątek, po wyczerpaniu się amunicji u dobrodzienian, Polacy wlewali się do miasta wielkimi falami ze wszystkich stron naraz. Polakom udało się wówczas schwytać wielu młodych mężczyzn z Dobrodzienia, których następnie dotkliwie maltretowali i wywieźli do swoich niesławnych obozów w Szopienicach i Bieruniu. Dopiero po wielu tygodniach ci młodzi mężczyźni mogli wrócić do swoich krewnych, obdarci i na wpół zagłodzeni.

Gdy tylko wielu Polaków znalazło się w mieście, zaczęli plądrować sklepy, a czasem także mieszkania. Każdy, kto stawiał opór, był rozstrzeliwany. I tak w ten Czarny Piątek w Dobrodzieniu, na Lublinitzer StraÙe zginęła pani Wittek, na Feldstraße pani Tröger, pan Schnappka z policji i jeszcze ktoś, kogo nazwiska już nie pamiętam. Ci zmarli byli potem pochowani w tym samym rzędzie, w którym leżała moja babcia, która zmarła nieco wcześniej, i dlatego to zapamiętałam. Groby te jednak już dawno zostały zniwelowane.

Na początku maja 1921 r. zmarł również miejski proboszcz Wolko. Ponieważ nie był przyjacielem Polaków, kazali otworzyć trumnę, aby upewnić się, czy naprawdę nie żyje, czy się ukrywa, czy nie urządzili pozorowanego pogrzebu, aby uniknąć zaprzysiężonej mu zemsty. Ówczesny burmistrz, Juretschka, również został zabrany przez Polaków.

Po kilku tygodniach polskich rządów, podczas których codziennie rano odbywały się apele na rynku, zastąpili ich Francuzi i Anglicy”.

Dla pełności obrazu i w myśl zasady, aby też wysłuchać drugiej strony, posłuchajmy teraz, jak te same wydarzenia opisuje obecnie polski historyk prof. Leszek Kania w najnowszej książce o powstaniach śląskich wydanej w ramach popularnej serii Historyczne Bitwy [Leszek Kania: Górna św. Anny – Kędzierzyn 1921, Warszawa 2021, str. 153]:

„O Dobrodzień zapowiadał się krwawy bój. Miasto było w tym regionie twierdzą niemczyzny. To stąd na przestrzeni ostatnich dwóch lat wyruszały karne ekspedycje stosstrupplerów, którzy siali terror na Górnym Śląsku. Powstańcy mieli z nimi rachunki do wyrównania, Kilka miesięcy wcześniej saperzy z Wrocławia opasali Dobrodzień systemem bunkrów ziemnych. Miasta bronili batalion Selbstschutzu i policjanci APO. Karol Lubos wspomina, że Dobrodzień powiatał powstańców wieczorem 5 maja wyciem syren, biciem w dzwony i gorączkowym kopaniem okopów. Powstańcy zgromadzili równorzędne siły i zamierzali przepuścić szturm na miasto ze wszystkich stron. Całą noc z 5 na 6 maja powstańcy trzymali Niemców w pogotowiu, nękając ostrzałem, żeby znużyć obrońców i wybadać ich słabsze punkty. O brzasku ruszyli do natarcia (...). Przez kilka godzin trwały walki o każdy dom. Niemcy zażarcie bronili kościoła i szkoły, z których uczynili fortecę. Skapitulowali, gdy śmierć zajrzała im w oczy. W południe 6 maja Dobrodzień był w polskich rękach. Sukces okupiono jednak bolesnymi stratami. Zginęło kilkunastu powstańców, w tym Wilhelm Maksyś, dowódca kompanii z Woźnik. Poległo też śmiercią walecznych siedmiu gimnazjalistów z Częstochowy. Powstańcy zdobyli w Dobrodzieniu mnóstwo broni, w tym kilkanaście karabinów maszynowych systemu Maxim i kilkaset karabinów ręcznych. Do niewoli wzięto 264 jeńców, których doprowadzono do Częstochowy”.

Jak wyjaśnić takie sprzeczności w literaturze i książkach polskich badaczy i pogodzić z pamięcią mieszkańców i zapiskami naocznych świadków oraz zwykłym rozumowaniem i wyciąganiem wniosków? Obraz przedstawiony w 2021 r. przez polskiego profesora historii i wykładowcę Uniwersytetu Zielonogórskiego nijak ma się do faktów, a nawet jest wewnętrznie sprzeczny. Już na temat tego akapitu mógłbym napisać kilkadziesiąt stron obnażających manipulacje, niechlujstwo, rażące błędy warsztatowe, bezkrytyczne korzystanie tylko z jednego źródła [K. Lubos, Na szklaku bojowym od Bytomia do Olesna, w: Pamiętniki powstańców śląskich, t. 1, str. 150, Katowice 1957]. Fantazja profesora poniosła na całego, pisze o systemie bunkrów, których nikt nie widział, pisze o nieistniejącym batalionie Selbstschutzu, czyli o grupie przynajmniej jakichś 300-400 żołnierzy, których nie było. Opis znanego polskiego profesora historii wojskowości jest nawet sprzeczny z polskimi książkami, nawet tymi wydanymi w PRL. Mieczysław Wrzosek, polski historyk, tak opisał te same wydarzenia:

„6 maja nad ranem siły powstańcze przepuściły koncentryczne natarcie na Dobrodzień i zdobyły miasto szturmem około godziny 6.00. Po stronie powstańców było 7 poległych i 20 rannych. Strat nieprzyjaciela nie udało się ustalić. Wiadomo, że wzięto do niewoli ponad 100 jeńców. W tym samym dniu opanowano również Zębowice.” [Mieczysław Wrzosek: Postania Śląskie 1919-1921, Warszawa 1971, str. 171-172]

Nie zgadzają się nawet liczby. Powstaje uzasadnione pytanie o wiarygodność prac niektórych historyków (może lepiej pisać – histeryków) oraz o wysane z palca manipulacje. Boję się pomyśleć, co by było, gdyby dziś jakiś historyk wojskowości opisał wydarzenia z czasów II wojny światowej tylko na podstawie manipulowanych wspomnień radzieckich dowódców, albo gdyby przyjął radzieckie relacje o wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920 bezkrytycznie dowodząc, że w 1920 r. bolszewicy wyzwalali uciemiężony lud ukraiński i białoruski spod jarzma polskich panów na Kresach? I jeszcze by to okraślił zmyślonymi przykładami bohaterstwa i uwłaczaniem obrońcom. Myślę, że nikt by takiej osoby nie potraktował poważnie.

Czy za tymi fantastycznymi opisami kryją się jedynie wybujałe relacje powstańców, którzy w czasie II RP a w PRL stanowili trzon władzy ludowej na Górnym Śląsku i nie musieli się niczego bać, bo nikt w Instytucie Śląskim w czasach PRL nie prowadził krytycznych badań naukowych, badając wszystkie dostępne źródła? Nie do końca. Kłamstwo i manipulacja były wtedy środkiem walki i były głęboko przemyślane. Pamiętajmy, że Wojsko Polskie dowodziło akcją powstańczą, a dokładnie Oddział II w Ministerstwie Spraw Wojskowych, który odpowiadał za wywiad, działalność informacyjną i wojnę propagandową. Specjaliści od

propagandy musieli prowadzić wojnę dezinformacyjną, aby Anglicy, Włosi, Niemcy i cały Zachód nie wiedział, że rząd Polski wspiera „ruchawkę” na Górnym Śląsku. A wsparcie było olbrzymie. Jak możemy przeczytać w polskich książkach [Tadeusz Kmiecik: Sztab Generalny Wojska Polskie 1918 -1939, Warszawa 2012, str. 116], tylko na potrzeby III postania śląskiego, łamiąc zasady Traktatu Pokojowego, Rząd Polski wysłał na teren plebiscytowy: 50 dział lekkich, 25.000 pocisków artyleryjskich, 7 pociągów pancernych, ciężkie karabiny maszynowe, 10.000 karabinów ręcznych i niezliczone ilości amunicji i broni krótkiej. Jakoś trzeba było wytłumaczyć światu, skąd miłujący pokój polscy Ślązacy mieli broń, więc sporządzano raporty o nieistniejących w rzeczywistości a przejętych magazynach broni, aby to zaś uzasadnić, skąd tam takie magazyny broni, pisano o nieistniejących oddziałach. Niestety wywiad polski nie doceniał wywiadu brytyjskiego i włoskiego. Zachód dowiedział się, jaka była prawda. Na podstawie dokumentów i zeznań zatrzymanych po stronie niemieckiej jeńców udało się udowodnić Polsce, że w walkach brały udział regularne jednostki Wojska Polskiego, w tym żołnierze z następujących pułków piechoty: 27., 42., 58., 61., 73., 155., i jeszcze z 15. Pułku Ułanów, całe bataliony Służby Celnej (to polski Grenzschutz), całe oddziały z 17. Dywizji Piechoty z Wielkopolski i sławetnej 23. Dywizji Piechoty stacjonującej w Zagłębiu Dąbrowskim. W świetle tych faktów straciła wtedy Polska wizerunek ofiary w historii, którą wszyscy zawsze napadają, a który tak ułatwiał prowadzenie polityki zagranicznej. Z ilością jeńców też nie do końca wszystko się zgadza. Deportowaną do polskich obozów koncentracyjnych ludność cywilną wykazywano w raportach jako członków niemieckich band i dlatego należało pisać o deportacji 264 jeńców, chociaż w innym raporcie już pisano o 100, a w rzeczywistości byli to mieszkańcy, którzy bronili swoich domów.



Dziś już o tym wszystkim wiadomo, archiwa są już częściowo odtajnione, a nie wszystkie dowody winy polskiej napaści udało się spalić w latach 1945-1990. Tym bardziej wprawia mnie w zdumienie pisanie takich bzdur po tylu latach. Jaki w tym cel? Co z prawdą? Czemu żaden z historyków z Górnego Śląska nie dostał zlecenia napisania takiej książki, tylko musiał to zrobić ktoś, kto nie miał pojęcia o Górnym Śląsku . Czyżby tylko on nie miał skrupułów?

Stoję w Dobrodzieniu nad grobem powstańców śląskich, zatopiony w głębokich myślach. Nie leży w nim żaden z 7 gimnazjalistów z Częstochowy, których wysłano za granicę do walki o wolność uciemzonego ludu polskiego. Oni nie zginęli jak rok wcześniej ich koledzy z gimnazjum im. Władysława Jagiełły w Płocku, do którego chodził Broniewski, a którzy bronili swojego miasta przed bolszewikami i bronili swojej ojczyzny. Dzieci z Częstochowy zginęły, bo ktoś wysłał je na wojnę hybrydową. Ciała tych chłopców z gimnazjum spoczywają na ich rodzinnym cmentarzu św. Rocha w Częstochowie. Pewnie jakiś powstaniec powiedział płaczącym matkom, że to Niemcy ich bestialsko zamordowali, bo takie emocje, jak chęć odwetu, da się łatwo wykorzystać w polityce.

Stoję nad tym grobem w Dobrodzieniu, który jak się okazuje, jest pustym grobem, bo nikt z poległych wtedy po stronie wojsk powstańczych nie został tu pochowany. Wszyscy leżą na rodzinnych cmentarzach. Nawet ich liczby nie znamy, chociaż są dokładne listy poległych sporządzane każdego dnia przez powstańców. Jeśli im wierzyć, to były to tylko te dzieci. Przychodzi mi myśl, że w Chrześcijaństwie pusty grób to symbol Zmartwychwstania i zwycięstwa prawdy. A czego symbolem jest pusty grób w Dobrodzieniu?

Jakiś gość wyrwał mnie z zadumy nad symboliką grobów i powiedział mi, że miasto dostało teraz kasę na to miejsce upamiętnienia i będą ją wydawać. Słucham go jednym uchem i patrzę na symbolikę żelaznego krzyża w ogrodzeniu tego grobu, która jest typową symboliką

wojennych grobów niemieckich. Żelazne krzyże rozdziela stylizowany symbol starogermańskiej runy algiz, która w mitologii germańskiej symbolizowała ochronę zmarłych, boskość, wszech-jedność, opiekę. Jestem przekonany, że to musiał być grób niemiecki. Więc zapytałem o to tego pana. Ten zaś po chwili milczenia mi powiedział, że to pewnie był grób obrońców Dobrodzienia, bo tacy polegli i ich pewnie tu pochowano i że wszystko wskazuje na to, że po wojnie w 1946 r. władza polska przerobiła grób niemieckich obrońców miasta na grób powstańców. Tyle że zostawili symbolikę żelaznych krzyży i runy algiz, bo się nie znali na tym, że to jakaś niemiecka symbolika. Poza tym ci, którzy to wiedzieli, i tak zostali zamordowani w 1945 r., a jak ktoś przeżył i uszedł przed deportacją, to i tak skończył w katowniach UB lub obozach bezpieki. Więc, kto niby miał to wiedzieć....

Na grobie leży tablica. Napis głosi: „Choć polegli, zwyciężyli.” - „Nieznany bohater” ta tablica nabiera teraz dla mnie zupełnie innego znaczenia.

Stojąc na cmentarzu w Dobrodzieniu pytam się sam w myślach niczym Piłat: Co to jest Prawda? Prawda to pusty grób Jezusa, który nie dla Jezusa został wykuty w skale, Prawda to też 30 srebrników wydane za zdradę i kłamstwo. Prawda to też pewnie dla wielu gusła i dziady odprawiane, żeby zaklinać rzeczywistość.

Dla mnie, Katolika, Chrystus jest Prawdą, Drogą i Życiem! Miłego świętowania jutrzejszej Uroczystości Wniebowstąpienia – kończącej okres wielkanocny. W Polsce akurat w jutrzejszą niedzielę świętujemy tę uroczystość, chociaż po prawdzie i jeśli wierząc zapisom Nowego Testamentu, to ona wypada w czwartek i w Niemczech już była świętowana.

Waldemar Gielzok, 15 maja 2021